

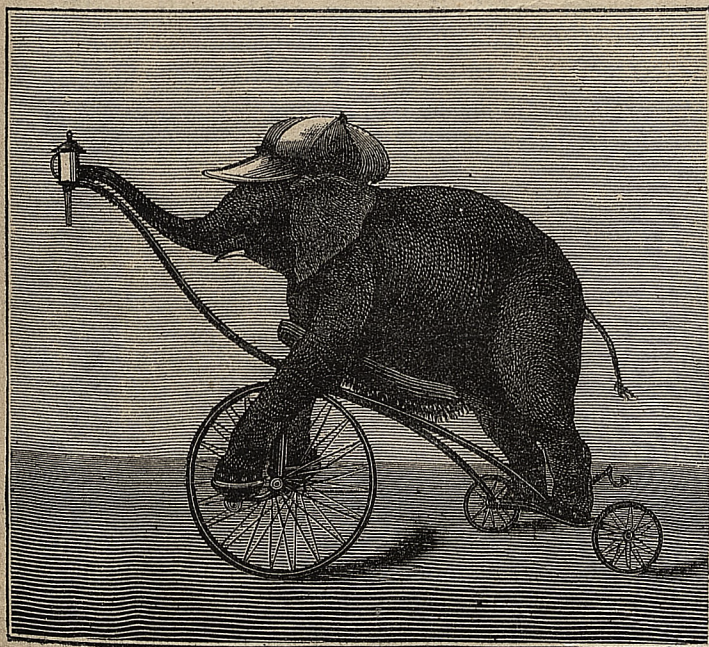
# WIECZORY WRODZINNE



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą, rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.  
Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### SŁOŃ UCZONY.

Słonie są bardzo roztropne, często też, pomimo swój ociężałości, wyuczać się dają różnych zabawnych sztuk i występują w cyrkach, ku uciechu gawiedzi. W Paryżu niedawno pokazywano całą gromadkę słoni uczonych, które najrozmaitsze figle wyprawiały. Jeden między innymi popisował

się na welocypedzie i wyglądał bardzo zabawnie w czapeczce dzokiejkiej, jak to widzicie na rycinie naszej. Trudno jednak pochwalać takiego tresowania zwierząt do sztuk łamanych. Człowiek ma zapewne prawo posługiwać się zwierzęciem, używać go do pomocy w pracy, a i wówczas powinien obchodzić się z niem po ludzku, nie obciążać nad siły, żywić dobrze i nigdy się nad zwierzętami domowymi nie paścić. Ale zdaniem naszym nie godzi się wyzyskiwać roztropność tych pocziwych stworzeń dla zabawki, jest to prawdziwa niedorzeczność kazać naprzykład takiemu biedakowi słoniowi stroić się w dzokiejką czapkę i jeździć na welocypedzie, chociaż trzeba przyznać, że to bardzo ucieśnie wygląda.

### MAJÓWKA.

W wigilię Zielonych Świątek dwie młode panienki zajęte były układaniem rzeczy w szafkach i komódkach, przez pewien czas panowało milczenie, wreszcie jedna, oglądając wyjęty z pudełka żabocik, zwróciła się do drugiej i zapytała:

— Jak sądzisz, Helenko, czy ten żabocik dobry będzie do nowój sukienki?

— Zdaje mi się, że nie — odrzekła zapytana — kolor tej wstążki nie jest odpowiedni do koloru sukni, a to tak nieładnie, jak się ma na sobie niewłaściwe barwy.

— To któryż włożyć? poradź mi, moja Heleneczko, moja najdroższa! chciałabym jutro ubrać się bardzo ładnie; sukienka będzie nowa, kapelusik mam śliczny, chciałabym więc, aby wszystko było odpowiednie.

— Dlaczegoż tak koniecznie jutro chcesz być ładnie ubraną?

— I ty się o to pytasz? sądzę, że powinny ci chodzić o to samo, wszak pierwszy raz będziemy na takiej świetnej majówce, a tak przyjemnie być ładnie ubraną, gdy się jest wśród liczego towarzystwa.

— Wszystko to dobrze, ale moja Zosieczko, czy tylko sukienki nasze będą dziś skończone? już powinny być odesłane, która to godzina? już zaczyna się ściemniać.

— Ósma dochodzi! o, mój Boże! nie, ale to nie może być, aby sukienki nie były na jutro skończone, jabym się zamartwiła, zapłakała.

— Może jeszcze przyniosą, nie martwmy się przed czasem.

— Lunia i Teczka mają być bardzo ładnie ubrane, Paulinka także pewnie się wystroi, ale przecież i nasze sukienki muszą być zrobione!

— Słyszysz, słyszysz, Zosiu, ktoś dzwoni, to pewnie z magazynu, idź i dowiedz się, czy...

Zosia nie słyszała już dalszej mowy siostry, w gniewie oka była za drzwiami; Helenka zostawiła też na później swoją robotę, a sama podążyła za siostrą, aby obejrzeć te oczekiwane sukienki.

W jadalnym pokoju dziewczynka z magazynu wyjmowała z pudła sukienkę, Zosia z gorączkowym pośpiechem wyrwała ją z rąk wyjmującej i poczęła oglądać na wszystkie strony.

— Ach! jaka też ładna sukieneczka, jak ślicznie zrobiona, ale co to za kartka tu przypięta?

— Daj, moje dziecko, to przeczytam — rzekła matka — pewnie rachunek.

— Zaraz, zaraz, ja sa sama zobaczę, bo może to coś odnoszącego się do wkładania sukni — mówiła Zosia, odpinając karteczkę — ale co to jest? co to znaczy? — zawołała, rzuciwszy okiem na pismo i mocno zaczerwieniwszy się — czy to panienka tę jedną tylko sukienkę przyniosła? to niepodobna! — i cisnąwszy wszystko na krzesło, rzewnie się rozpłakała. Matka poczęła się dopytywać o powód płaczu, a Helenka, wzięwszy do ręki kartkę, głośno czytała:

„W żaden sposób, nie mogłam wykończyć roboty, odsyłam więc tylko sukienkę panny Heleny, a za kilka dni i druga będzie gotowa. Przepraszam najmocniej, że nie wszystko zrobione, ale odrazu nie przyrzekałam tego, wiedząc, iż mam jeszcze wiele zaległej roboty.

Z szacunkiem. Marya N.

— Nieznośna, niegodziwa panna Marya! co za sens jedną sukienkę odsyłać! — wśród płaczu odzywała się Zosia.

— Pani miała teraz bardzo dużo roboty — mówiła nieśmiało dziewczynka z magazynu — już i tak ze trzy noce ciągle się szyje a nie można nadażyć.

— To trzeba było nie podejmować się i zawodu nie robić, bo bardzo przykro nie mieć tego, na co się z pewnością rachuje; ale co to pannę Maryę może obchodzić, widać, że jest niedelikatna i nic a nic nie zna się na grzeszności.

— Zosiu, Zosiu, uspokój się, zaczynasz mówić już niedorzeczności — surowo przemówiła matka — panna Marya nie obiecywała na pewno, a gdzie indziej nie chciałaś sama oddać roboty, bo wiesz, że nikt ci tak dobrze nie zrobi. Trudno więc, nie zawsze tak być może jakbyśmy chcieli.

Zosia w żaden sposób nie dała sobie wytłómaczyć, iż na ten raz można się obejść bez nowej sukienki.

— Moja Zosieczko — rzekła Helenka, obejmując siostrę w pół i serdecznie całując — kiedy ci tak o to chodzi, to może mogłabyś moją sukienkę włożyć:

— Co też ty pleciesz! jesteś odemnie dużo wyższa i cięższa, jak jabym nawet wyglądała w twojej sukni!

— Nie masz czego się złościć, podziękowałabyś lepiej siostrze za dobre chęci — odezwała się matka.

— Co mi tam po czyichś chęciach, czy one są dobre, czy złe; doprawdy, nie wiem, jak ja pojedę na tę majówkę w starą suknię!

— Przecież mamy parę innych ładnych sukienek, to można którą z nich włożyć, niebieska zupełnie jeszcze świeża i bardzo ci w niej dobrze.

— Niebieskiego koloru nikt już teraz nie nosi, bo nie modny; dla czegoż więc i ty nie włożysz niebieskiej sukienki, kiedy mówisz, że taka piękna? — rzekła Zosia z przekąsem.

— Jeszcze nie było o tém mowy, w co się ubiorę — odrzekła łagodnie Helenka — ale mogę cię zapewnić, że nową sukienki nie włożę; mnie samą byłoby przykro, gdybym się ubrała strojnziej od ciebie, najlepiej lubię, gdy jesteśmy ubrane jednakowo, więc co ty zechcesz włożyć i ja na to przystanę. Nie martw się i nie płacz, lepiej przejrzyjmy nasze stroje i uradźmy, co będziec najwłaściwsze na jutrzejszą zabawę.

Łagodna i serdeczna mowa Helenki uspokoiła cokolwiek Zosię, zgodziła się też na przygotowanie niebieskiej sukienki i znów dziewczątka poczęły układać plany na dzień następnny.

— Ach! żeby tylko pogoda dopisała! — mówiły obie, udając się na spoczynek.

Nazajutrz śliczny dzionek zawitał; na niebie ani jednej nie było chmurki, słońce na wszystkie strony rzucało swe ogniste promienie a niekiedy powiewał łagodny wietrzyk, roznosząc woń kwiatów i ziół.

Całe towarzystwo zebrało się na umówioném miejscu, rozpoczęły się różne zabawy, wesoło było i przyjemnie, wszyscy pod wpływem uroku wiosny i zamiejskiej swobody w wybornych byli humorach, zamierzono też przepędzić cały dzień na świeżem powietrzu i w tym celu przygotowano mnóstwo rozmaitych zapasów, nie zbywało też na przysmaczkach, a wszystko to z większą ochotą się zjadało, niż w mieszkaniu, ruch i powietrze więcej dodają smaku niż najlepsze przyprawy.

— Już kilka godzin przepędzono poza miastem, gdy naraż się ściemniło, szare chmurki poczęły tu i owdzie krążyć po niebie, zrobiło się parno i duszno, słowem zanosło się na burzę; trzeba było myśleć o powrocie do domu: zbierano koszyki i tłomoczki, z pośpiechem gromadzono porzrzucone w różnych miejscach rzeczy, lecz nim wyruszono, deszcz tak ulewny począł padać, iż wszyscy najokropniej zmokli; ze wszech stron słychać było wykrzykniki:

— O mój Boże! co to będzie z moim kapeluszem!

— Moja suknia już na nic!

— Patrz, patrz, jak to spływa farba z mojej nowej parasolki!

— Moje pantofelki zupełnie wyjdą z formy, po kostki stoję w wodzie!

— To nic! abyście się tylko nie pozazębiały, moje panienki — mówiły starsze osoby.

Lunia, Teczka i Paulinka ze smutkiem spoglądały na swoje poniszczone sukienki, były też zmoczone i wygniecione do niepoznania, wstążki, zdobiące je przedtém, straciły sztywność i połysk, koronki pokurczyły się, falbanki rozprostowały.

Helenka tylko i Zosia najmniej na ulewie ucierpiały, muślinowe ich sukienki potrzebowały tylko odprasowania, aby mogły wrócić do dawniejszego stanu.

Gdy, wróciwszy do domu opowiadano sobie wypadki dnia ubiegłego, Zosia, zwracając się do Helenki, rzekła:

— Widzisz, Helenko, jak to dobrze, żeś nie wzięła nową sukienki, coby z nią teraz było?

— A jeszcze lepiej — odpowiedziała Helenka — że panna Marya nie skończyła twojej — byłybyśmy się obie wystroiły i obie martwiły, widząc takie zniszczenie.

— Widzicie więc, moje dzieci, że nie ma tego złego coby na dobre nie wyszło — dodała matka — nie trzeba więc smucić się i rozpaczać, gdy nas spotka mała jaka nieprzyjemność bo i z niej mogą niekiedy wyniknąć dobre następstwa.

*Helena Bojarska.*

## PROFESOR VAN-MOUS.

Przykładem nieugiętej woli, niczem nie zrażonej cierpliwości, a przytém wielkiej, wytrwałej, dla celów ogólnych podjętej pracy, może być dla wszystkich życie uczonego profesora *Van Mous'a* o którym krótką tę wzmiankę przepisujemy dosłownie z książeczki p. Edmunda Jankowskiego p. t. *Owoce*.

Belgijski ten uczoney, profesor chemii na uniwersytecie w Louvain, położył niezmiernie ważne zasługi dla całego owocarstwa, a zamiłowanie do hodowania drzew i robienia różnych na nich prób objawiało się w nim już w dzieciństwie. Mając lat 15 siał ziarnka różnych owoców dla otrzymania z nich nowych drzewek. W 22-im roku życia już miał w głowie całą swoją metodę, którą ogłosił w r. 1823. W naukowych swych zajęciach znalazł wybornego pomocnika w ogrodniku swym *Menois'ie*. Obaj oni jeździli po różnych miastach i wsiach Flandryi i skupowali dziczki odpowiednie do zamierzonego celu, co oceniali z pewnych oznak zewnętrznych. Profesorowi chodziło głównie o to, żeby zbyt długo na własne drzewka nie czekać; z drugiej zaś strony miał to przekonanie, że odmiany nowe daleko łatwiej powstają z roślin przeniesionych w odmienny grunt i klimat; domyślał się przytém, że przymioty już wyrobione w pewnej, upatrzonyj roślinie, przejdą na jej potomstwo, może nawet w wyższym stopniu. Tym sposobem na najętym gruncie wysiewając ziarnka podług swej metody i skupując dziczki, po kilkunastu latach pracy doszedł *Van Mous* do zgromadzenia w ogrodzie w *Brukselli* do 80 tys. drzewek.

Teorya jego, bardzo prosta w zasadzie, wymagała jednak niezmierniej cierpliwości w praktyce. Dziczki, z siewu pewnych odmian otrzymane, lub nabyte w jakim sadzie, doprowadzał aż do owocowania, na co potrzebował (nieznając jeszcze wtedy pewnych metod) lat 12 lub 15 dla gruszek, nieco mniej dla jabłek i pestkowych.

Owoce tą drogą otrzymane były zwykle niepozorne, kwaśne mało, słowem złe.

Niezrażało to profesora, który wybierał pomiędzy niemi najpiękniejsze, ziarnka ich wysiewał i czekał znów na owoce tego drugiego pokolenia. Ku wielkiej swej radości przekonał się, że te siewki owocowały o parę lat wcześniej i wydawały owoce nieco lepsze od pierwszych. Z niemi znów tę samą robotę powtórzył, a trzecie pokolenie owocowało już w 8-ym roku i owoce były znów nieco lepsze od poprzednich.

Tak postępując od pokolenia do pokolenia, doczekał się już w 5-ém pokoleniu, (które dało owoc w pięć lat od chwili siewu) niektórych owoców wybornych, uważanych nawet za takie obecnie. Nie zatrzymał się jednak na tem, lecz poszedł dalej aż do 8-go pokolenia które owocowało po latach 4-ch. Tym sposobem na dobry nowy owoc czekał lat 42, a przy sprzyjających okolicznościach 36. Niezwrócił jednak uwagi, że w obmyślonej przez człowieka pracy, brała udział przyroda. Owa dy i wiatr bowiem, przenosząc pyłki jednych kwiatów na słupki drugich bezkarnie pewnie były przyczyną powitania niejednej szczęśliwej odmiany

W roku 1817 powołano zajętego swą pracą *Van Mous'a* na profesora chemii w uniwersytecie w Louvain, miasteczku odległym o kilka mil od stolicy Belgii. Nowe obowiązki nie przeszkadzały mu zatem i nadal zajmować się szkółkami, w których znajdowało się kilkadziesiąt tysięcy drzewek, zwłaszcza grusz.

Pomiędzy niemi całe kwatery zapełnione były siewkami 4-go, 5-go i 6-go pokolenia, bez przerwy z nasion kolejno wysiewanego. Szkołka *Van Mous'a* była już wtedy ogniskiem, z którego uczoney profesor bezinteresownie wysyłał do wszystkich krajów Europy, a nawet do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej zrazy i wyborne nowości; przyszłość powinna była wydać jeszcze świetniejsze rezultaty. Tymczasem niespodzianie zarząd miasta *Brukselli* osądził, że miejsce zajmowane przez szkołkę *Van Mous'a* potrzebnem jest pod budowlę i mu-

si być na place sprzedanem. Wezwano więc uczonego pomologa w 1819 r. do opróżnienia gruntu, pozostawiając mu na to czas od 1 Listopada do 24 Grudnia, porę najostrożniejszych mrozów.

Cóż było począć? Dzielnny człowiek nie dał za wygraną i postanowił pomimo wszystko przenieść swe skarby do Louvain, z niewdzięcznej *Brukselli*.

Przy zajęciach uniwersyteckich, rozporządzał tylko swym czasem w sobotę po południu i w niedzielę; użył go też na zebranie zrazów i oznaczenie najwięcej wartościowych drzew, które przenieść miano. Niezgrabni pomocnicy, brak miejsca w nowym ogrodzie i surowa pora roku sprawiły, że z nieoczekiwanych bogactw dla owocoznawcy, ocalono ledwo dwadzieścia części i to głównie w zrazach. Resztę rozdano lub sprzedano. A czém była taka strata dla uczonego profesora, tego już mówić chyba nie trzeba.

Ale nie na tém koniec.

Zamiast nabyć na własność kawał ziemi, *Van Mous* najął go w Louvain od zarządu miasta i szczytki swej wspaniałej szkółki w nowym ogrodzie pomieścił. Zaraz pierwszej zimy poblizka rzeka ogromnie wylała na wiosnę, w chwili puszczenia lodów. Kra gęsto płynąca przez ogród *Van Mous'a* popsuła i uniosła nie mało drzew świeżo posadzonych, tak jakby natura chciała dokończyć dzieła rozpoczętego przez ludzi.

Po tej klęsce nastąpił 13 letni peryod spokoju. Stosunki profesora z uczonymi pomologami zawiązały się znów. Jednocześnie i inni poszli za jego przykładem. Nowości ich sprowadzał *Van Mous* do siebie i rozpoczął na nich próby podług swej metody. Jednocześnie bezpłatnie na wszystkie strony rozdawał zrazy, prowadził rozległą naukową korespondencją, udzielał rad i wskazówek.

W roku 1823 wydał swój katalog w którym pomieścił prawie 2 tysiące odmian otrzymanych przez siebie i współczesnych. Dużo z nich już nie istnieje. W 1831 r. zasłużony profesor cieszył się rezultatem swej 50 letniej pracy i badał gdy wydarzył się wypadek, który mu zatruł resztę życia. Francuzi oblegli Antwerpią, a inżynierowie ich, niewiadomo dlaczego, za najdogodniejszy punkt do umieszczenia kuchni i prowiantów uznali Louvain, odległy o 14 mil od twierdzy obleganey, a w Louvain nie było lepszego na ten cel pomieszczenia ich zdaniem, niż zagroda *Van Mous'a*.

Co z tego wynikło, nie trzeba objaśniać. Jednakże sędziwy starzec nie stracił i teraz energii, którą się całe życie odznaczał. Najął znów dwa kawały gruntu i przeniósł na nie drzewka 7-go, 8-go, 9-go, pokolenia, a że to było w lecie, udało mu się więc ocalić i zrazy z wielu najcenniejszych odmian. Zdawało się, że tym sposobem dziedzictwo po nim nie zginie; ale osądzono widać inaczej, bo znów zarząd miasteczka Louvain 1834 r. doszedł do przekonania, że miejsce zajęte przez szkółkę jest jedynem dla urządzenia fabryki gazowej. Tak więc biedny *Van Mous* w 70 roku życia doczekał się, że fabryka światła zniszczyła w imieniu dobra publicznego jego mozolną i jedyną w swoim rodzaju pracę, podjętą także dla dobra ludzi. Szczęściem ocalał z niej nie jeden doskonały owoc, który jest i będzie długi czas jeszcze, corocznie odnawiającym się pomnikiem zasług dostojnego profesora.

Ale choć przykład jego rozumnej, szlachetnej, wytrwałej pracy, pozostanie na zawsze wzorem dla każdego pracującego dla dobra kraju i ogółu, nie zazdrośmy go Belgijczykowi, bo i nasz kraj może się takim zacnym synem ośzycić. I my też mamy naszego *Van Mous'a* w osobie gorliwego pracowitego, wytrwałego, a pełnego miłości dla kraju i jego dobra autora książeczki, z której te szczegóły czerpiemy. Gdyby tylko przykład jego znalazł więcej naśladowców, mogłoby i dla nas przybyć jedno więcej źródło dochodu.

*Zofija Grabkowska.*

## USTĘP Z POEMATU KOŚCIELISKO.

przez Soworyna Goszczyńskiego.

Rozkoszna jedyna,  
Pochmurna dolina,  
Dla całych Tatrów ponęta;  
Lecz lasy i skały  
W krąg ją opasały,  
I bramą z głazów zamknięta.  
Rozkoszna, jedyna,  
Pochmurna dolina,  
Od całych Tatrów kochana.  
Lecz na nią mgły gęste,  
I deszcze w niej częste,  
Dolina często splakana.  
Bo w skalnej siedzibie,  
W Dunaju kolebie,  
Panuje straszny duch potwór:  
Zgrzybiały zazdrośnik,  
Dunajca miłośnik,  
Wciąż patrzy za nim przez otwór  
Poczwarą złośliwą  
Szaleje do dziwa,  
Jak tylko weźmiesz mu wody;  
Za kroplę ztąd biedną  
Piekielne bezedno  
Potopem wre niepogody.  
Siedziba szatana  
Skarbami zaphana,  
W niej srebro, złoto, jak śmiecie;  
Nie złota duch patrzy,  
Od złota skarb rzadszy  
Tam leży — wieczne tam życie.  
A kto dość wytrwały  
A w głębią pójść skały,  
I na strach mocną ma głowę;  
Ten za swoje dzielność  
Ma tam nieśmiertelność,  
I bierze skarbów połowę.  
Lecz ducha złość wściekła  
Zatrząśnie dnem piekła,  
Jak tylko drzesz się pod skałę.  
Opada ulewa,  
Wiatr lasy wyrывa,  
Głaz pęka, Tatry drżą całe.

## CHWILA SPOCZYNKU,

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE

przez Michała Krzemienia.

(Dokończenie).

LUTKA.

Jakto „albo co”? Czyliż to ten twój Horacyusz dla tego był wielki, że siostrę zabił?

KAZIO.

O nie... ale...

LUTKA.

Gdyby tu była panna Józefa, toby ci z pewnością powiedziała: „Powoli! powoli, zastanów się, nim odpowiesz!”

KAZIO (zastanawiając się).

Nie... przeciwnie, on właśnie wielki po zwycięstwie wiekopomnym poniżył się przez to, że siostrę zabił... i dla tego senat skazał go na śmierć, jak zbrodniarza... bo senat był bezstronny, a lud winowajcę uwolnił, bo ludowi chodziło o siebie, aby nie poszedł pod jarzmo albańskie...

LUTKA.

A widzisz!... teraz pewna jestem, że dobrze odpowiesz, bo wiem na pamięć, jak myśli panna Józefa. A więc nie mów, że nie mógłbyś być Horacyuszem dla tego, że siostry nie możesz zabić, bo pamiętaj, że jak mówi panna Józefa „wielkość i zbrodnia, to są dwa różne pojęcia, które nigdy, od początku do końca świata, zgodzić się z sobą nie mogą”.

KAZIO.

Czekaj-no... co to jest?... (bierze zwitek spory papieru, który Lutka rzuciła na stół wraz z szalem).

LUTKA.

To?... A! to ja niechcący z szalem przyniosłam; to jest ćwierć funta waty, zwinięte porządnie w papier, jak ma- ma zawsze w komodzie trzyma, bo wata może być często potrzebna i w razie bólu zębów, i rozmaicie, jak doktorzy każą, a posyłając po to trzeba czekać, a to się nie zepsuje przecież leżąc.

KAZIO.

Dobrze... ale to przecież nie jest wam, mamie i tobie w tej chwili potrzebne, zatem... (drze watę i papier na części i wrzuca z tego długą pytkę)... Oto teraz będzie dobry miecz; bo w zapale, mógłbym linia porządnie ciebie szturchnąć, a teraz, choćbym najmocniej natarł, nie zrobię tobie bólu. A więc grajmy! (staje w pozycji wymachując nowym mieczem).

LUTKA.

Ale czekajże! ja jeszcze nie gram, ja chcę..

KAZIO.

Cóż ty chcesz znowu?

LUTKA.

Ależ przecież ty sam powiadasz, że włoscy aktorzy, nawet improwizując sztukę, układali wprzód główne sceny... a myśmy nic nie ułożyli i ja nie wiem, co mam robić!

KAZIO.

Ech, ależ to najprostsza rzecz. Tylko wyobraź sobie siebie na miejscu Horacyuszówny, i gadaj i rób, co ci na myśl przyjdzie, a pewno będzie dobrze.

LUTKA.

Jak to dobrze będzie, kiedy jest źle!..

KAZIO.

Bo w natchnieniu i uniesieniu można wiele rzeczy mówić, o których nie śniłoby się ludziom inaczej!

LUTKA.

Ale jak kto wcale nie wie, o czym ma mówić, to chyba i w natchnieniu nie będzie wiedział!

KAZIO.

I to być może. Ale na wszystko jest sposób, byle tylko mieć żywą wyobraźnię, wedle Szekspira. Wyobraź ty sobie, że jesteś rzymską panią, Horacyuszówną, że masz trzech braci Horacyuszów i narzeczonego, jednego z trzech Albnów braci Kuryacyuszów; wtém... kłóci się Rzym z Albą i ludy oba wyzywają do walki trzech Horacyuszów, i trzech Kuryacyuszów... no, teraz zastanów się, co byś ty czuła i co byś robiła na miejscu tej Horacyuszówny?... i tak rób... to jest tak graj, jak czujesz... to już wszystko!

LUTKA.

Jak to wszystko! Dobrze ja rozumiem co mówisz, ale przecież trzeba nam się umówić, chociaż od jakiej chwili zaczynamy sztukę! Wszak sam wiesz, że włoscy aktorzy umawiali się o główne sceny przecież, ażeby wiedzieli, co kto ma robić na scenie, inaczej, wszyscy byliby jak błędni!

KAZIO.

No, to prawda, (targa się za włosy) więc niby grę rozpoczniemy od chwili, w której już dwóch Kuryacyuszów padło zabitych, bo nie mogą przecież grać z sześcioma; ale z trzema, kiedy tamten Horacyusz poradził sobie, to i ja poradzę.

LUTKA.

Ale ja co mam robić?

KAZIO.

Wyobraź sobie, że naprawdę jesteś Horacyuszówną, więc cóżbyś robiła, gdybyś była rzymską panią, w takim położeniu?

LUTKA.

Powiedz: takim nieszczęściu!

KAZIO.

To prawda, że w nieszczęściu, ale cóżbyś robiła?

KAZIO.

Otóż właśnie! ty stoisz z wszystkimi, a tu jeden brat pada!

LUTKA.

Och jój!...

KAZIO.

Niedługo, drugi pada, a twój narzeczony i dwaj jego bracia walczą, a ty już masz tylko jednego brata! (*Lutka za-*



Kościelisko.

LUTKA.

Ha, cóż... pewno to, co wszyscy z razu, patrzyłabym poważnie, jako Rzymianka, na walkę Rzymian z Albą...

KAZIO.

Otóż to, bo żebyś nie wiedzieć już jak braci kochała, to nie mogłaś skoczyć do Horacyuszów, gdyż toby nie wypadło, a mogłabyś nawet walce przeszkodzić i być Rzymianką przez to narazić, więc stoisz jak trusia...

LUTKA.

Tak, ale coby mi się w duszy działało!

*tamuje ręce*). A widzisz! otóż tak, teraz dobrze, teraz ja gram! (*krzyczy wymachując do krzesła*). Kuryacuszul bracia, wy bracia moi braciom moim życie wzięliście, pozostaje teraz Rzym i ja! walczcie i gińcie wy i Alba! Rzym zwyciężyć musi!

LUTKA (*tamując ręce*).

Ach ja nieszczęśliwa!... patrzcie, Rzymianie, patrzcie! dwóch Horacyuszów już padło! Ja nieszczęśliwa, czy Rzym czy Alba zwycięży, ja zawsze cierpieć będę i oplakiwać braci albo narzeczonego!

KAZIO (*mocując się z trzema krzesłami*).

Co? we trzech nacierać, ha, ja trzem nie wydołam, uciekam! (*uciekając pociągawszy za sobą jedno krzesło*).

LUTKA.

Nieszczęście! hańba! ucieka Horacyusz ostatni, ginie Rzym!

KAZIO (*biegając wkoło pokoju przebiega koło krzesła, które naprzed pociągnął*). Ha, ty mię ścigasz! giń! (*walczy i przewraca krzesło z trzaskiem, poczem pociągawszy drugie krzesło, ucieka znów*).

LUTKA.

O, losy! o! fatum! zginął i Kuryacyusz jeden, Jowiszu! strzeż mego brata, ale strzeż i narzeczonego mego!

KAZIO (*napadłszy wbiega na drugie krzesło*).

Ha! jesteś tu, Kuryacyuszu drugi! ty gonisz mię, podczas gdy brat twój zdejmuję zbroję z tego, którego zabił! poprobuuj może i ty zwycięstwo Albie i zbroję moję zdobędziesz! próbuj! próbuj! ha, giń (*po zaciętej walce przewraca krzesło i przyskakuje do trzeciego*).

LUTKA.

Drugi Kuryacyusz zginął! oto brat mój walczy z narzeczonym moim, któryk... wiek zwycięży, mnie nieszczęście czeka, o, Jowiszu, jakież... nielitościwy jesteś, Jowiszu!...

KAZIO.

Ha! Kuryacyuszu i wy ludzie, myśleliście, że ja naprawdę podle uciekam? O! nie, to był tylko podstęp wojenny, a teraz, kiedy walka jest równa, walcz, Kuryacyuszu, bo jeden z nas ma zostać tu na miejscu!

LUTKA.

Nieszczęście! nieszczęście!

KAZIO.

Giń Alby synul (*po gwałtownej walce przewraca krzesło*).

LUTKA (*z wielkim krzykiem, rzucając się na to przewrócone krzesło*).

Ratujcie! ratujcie! mój narzeczony zabity! ratujcie!

KAZIO (*jednocześnie krzycząc z całej siły*).

Zwyciężaj Rzymie! zwyciężaj! przez wieki!

(*Panna Józefa z krzykiem przerażenia, wpadając z drugiego pokoju*).

P. JÓZEFA.

Dla Boga! co się tu stało! (*porywa Lutkę*). Dzieci (*je dno przez drugie mówiąc po chwili zakłopotania*). Ale nic to, nie, my teatr gramy!

LUTKA.

Ja narzeczonego, Kuryacyusza oplakuję, proszę pani!

KAZIO.

My Horacyuszów gramy! już wszystkich Kuryacyuszów zabiłem!

P. JÓZEFA (*oddychając głęboko*).

Ach!... a ja myślałam już, żeście się oboje pozabijali... no, chwala Bogu!

LUTKA.

Cóż to? pani się przelęknęła tak bardzo? A... to panią głowa bolała i miała pani spocząć przez chwilę...

KAZIO.

A my, mieliśmy cicho się sprawiać... i zapomnieliśmy się jakoś, troszeczkę...

P. JÓZEFA.

A to co? (*ogląda ubranie Lutki*).

LUTKA.

Ej, to jest peplum rzymski (*układa je właściwie*). Ale kiedy my ciągle pani przeszkadzamy, to głowa będzie jeszcze gorzej boleć, przepraszamy, przebacz nam pani i idź jeszcze spocznij przez chwilę, a my już teraz będziemy pamiętać i ani piśniemy!

KAZIO.

Już nie będziemy więcej hałasować, lichy mię podkusiło i z teatrem, niech pani położy się jeszcze, panno Józefo.

P. JÓZEFA (*biornąc się za głowę*).

Doprawdy, moje dzieci, tak się przelęknęłam, że aż mię głowa podobno boleć przestała, bo to był ból nerwowy. Zda-

je mi się, że i deszcz ustał tymczasem, zatem, dosyć już mam tej chwili spoczynku, zabierajcie książki i idźmy do altany dokończyć lekcyi na świeżem powietrzu.

LUTKA.

I nie boli już głowa naprawdę!

KAZIO.

Wiwat! dalej do altany!

LUTKA:

Do altany!

(*P. Józefa wychodzi, dzieci skacząc biegną za nią*).

## ZŁOTE PACHOLE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

przez M....a

„Inni ludzie, inne czasy,  
Zgrzybiałości wszędy znak,  
Ciszej szumią rzadkie lasy,  
Smutniej szemrzą mętne wody,  
Kwiat bliedniej, słabną rody,  
Niżej zda się bujać ptak”.

Ale to jest wieku złuda,  
Bo to starcy widzą tak;  
Jest i kwiat, co się zawsze uda  
W dobrej glebie i zaszczytnie,  
Jak kwitł dziadom, wnukom kwitnie.  
Na młodości wiecznej znak.

Kwiat ten, przyjaźni się nazywa,  
Święta przyjaźni bratnich dusz;  
Niema woni żadna niwa,  
Nad woń rzeźwą tego kwiatka,  
Nawet choć go ziemia matka  
Na czas zimy skryje już.

## WSTĘP.

Było to około roku 1408, za panowania króla Władysława Jagiełły. Ziemia nasza inny wcale miała pozor, niż ma dzisiaj; a mianowicie „Wielkopolska po większej części płynęła jeziorom, lub grzęzła bagnem, a Małopolska i Mazowsze szumiały lasem”. Ale jak o jedném tak o drugim nie możemy mieć wyobrażenia nawet w przybliżeniu z tego, co dziś widzimy. „Przed wiekami, przy najwyższym stanie zwierciadła wód w Bałtyku, pokrywały te wody całą przyległą ziemię pomorsko-pruską. Po dziś dzień zachowała się u polskiego ludu tradycja, jakoby niegdyś morze Bałtyckie rozciągało się aż po Grudziądz. Zgodnie z tą wieścią, nazywają dziejopisowie kraj pruski jednym z najnowszych łądów ziemi. Wszakże i po swoim wystąpieniu z toni, zachował on nazbyt jawne ślady pierwotnego jestestwa. Przeszło dwa tysiące jezior pokrywało do niedawna szczyplą przestrzeń Prus krzyżackich. Taką samą obfitość wód wszelkiego rodzaju poczytują malarze okolic Wielkopolski podziśdzien za główną charakterystykę tej sąsiedniej Pomorza ziemi”. Tedy wzięwszy na uwagę, ciągle, widoczne zniżanie się powierzchni Bałtyku, można przeciw domysłać się, że roku 1408 musiała sąsiednia mu ziemia, przy równoczesnej obfitości innych jej wód, istotnie „płynąć jeziorom lub grzęznąć bagnem”. To też i mnóstwo rzek, które dziś opadły, były wówczas spławnymi, mnóstwo najrozmaitszych ładownych statków pływało po nich. Na wielką skalę prowadzono „myślistwo rybne”. Z Piastowskich zaś jeszcze wieków pozostało „wielce wydoskonalone słownikarstwo żeglarskie”, jako dowód gęstej w owych czasach polskiej żeglugi. Była też mnogość ptactwa wodnego. Tak bywało z bagnistą Wielkopolską.

Z lesistą Małopolską zaś było inaczej. Szumiała ona lasem „ale nie były to przetrzebione, poprzecinane w swym jednostajnym ciągu lasy dzisiejsze. O pół tysiąca lat pierwotnej naturze bliższa, niezmiernymi przestrzeniami aż po dalekie rozpościerająca się góry, zawierała puszcza ówczesna, albo zupełnie już nieznaną, albo nadzwyczaj rzadkie rodzaje

kosztownych, olbrzymich drzew. Lasy tam były modrzewiowe, gaje cisowe, ogromne bory lipowe". Dęby, jesiony, wiąz, buki, sosny, topole, leszczyna, dzikie jabłonie, grusze i mnóstwo niezliczone innych, zacięniały gęsto cały kraj. Jak w Wielkopolsce ryby, tak w Małopolsce zwierzy oczywiście obficie się znachodził. Wśród tych lasów, na żyznej ziemi rozsiadłszy się szeroko, lud krzepki zajmował się po największej części łowiectwem, pszczelnictwem, pasterstwem, myślistwem, rolnictwem i sadownictwem. „W rozkosznych sadach między Wisłą i Odrą kwitnęły różę po dwa razy do roku. Miłośnicy kwiatów upajali się na śmierć ich wonią. Słodycz nieba krakowskiego była swoim i cudzym znaną". Od czasów Kazimierza W. weszło w zwyczaj szczepienie winnic, a zebrane grona, nietylko że w jedzeniu smak miały przyjemny, ale nawet wydawały wino pokupne. Kwitnęły też wiśnie, śliwy, grusze.

## I.

## Pieszczoch matusin.

Wśród takich to mniéj więcéj czasów i okoliczności, we wsi Garbowo, w krakowskiej podówczas dyecezyi leżącej, w głównej szlacheckiego dworca komnacie, znajdowały się cztery osoby, spoczywające w popołudniowej porze dnia świątecznego. Dwoje było starców, trzecią młoda kobieta, czwartą dziecicę. Starcy oboje krzepko wyglądali mimo starości, ale bo też w owych czasach i w owej ziemi trudnoby ludziom poznawać wiek z oblicza, gdy „przesłuchującym w ważnych procesach świadkom, mającym dać wiadomość o dawno minionych czasach, przyznawano sądownie po 150 lat życia". Zresztą oboje ci starzy byli do siebie podobni, jak się to często zdarza ludziom, którzy dużo czasu i przygód razem przeżyli, a więc starym towarzyszom-żołnierzom i wiekowym stadłom. Oboje byli też prawie jednakowo odziani, mimo lata, w grubych i dostatnich sukmanach z krajowego sukna, które to sukmany weale nie wiele się w gruncie rzeczy różniły od dzisiaj modnych długich palt męzkich i damskich, albo od sukien damskich zwanych polonezkami. Oboje opasani też byli po sukmanach rzemiennymi pasami tak, jak i dziś paskami ściskają kibić kobiety. Oboje mieli na nogach, zamiast najwykleszych zimowych po kolana butów, płytsze i lżejsze trochę obuwie, od którego szło szerokie, aż po kolana sięgające sznurowanie taśmowe. Na głowie zaś kobieta miała biały rańtuch płócienny, zakrywający włosy i otaczający szyję i ramiona w taki prawie sposób, jak dziś szalami otulają głowę kobiety przy wyjściu z domu w dni chłodne. Obyczaj, a także i ostrzejsze powietrze, mimo owych róż i „winobrania wśród ostrych wichrów" nakazywały starszym zwłaszcza niewiastom nie rozstawać się z takiem głową zabezpieczeniem. Starzec za to był z gołą głową, a czarne na niej miał włosy,

Siedzieli oboje po obu stronach malutkiego okienka, zasłoniętego przezroczytym pęcherzem, zamiast zbytkownej jeszcze w owych czasach szyby szklanéj. Siedzieli na stołkach z poręczami, o nogach skrzyżowanych i przypartych do ściany, takiż stół domowej roboty gruby stał pomiędzy starymi, przyparty nieruchomo pod okienko do ściany. Na stole spoczywał potężny dzban gliniany z piwem i kubek drewniany domowej roboty. Starzy dolewali z dzbana w kubek po trochu, nigdy pełno, i kosztowali, to jedno, to drugie z kubka; gdy kropla piwa spadła na stół, a kubek postawiony na niej przyłgnał, zaraz starzy wycierali ową kroplę starannie kawałkiem wełnianej szmatki, leżącej do tego z boku. Stała tuż na stole i duża domowej roboty drewniana misa pełna orzechów, po które starzy sięgali od czasu do czasu, gryząc je z trzaskiem, od niechcenia, a jedząc smaczno, łupiny rzucali w kosz pod stołem.

Wszystko to razem dawało starym nieustanne powolne zajęcie, jakiego ruchliwe, pracowite owoczesne pokolenie potrzebowało nawet w chwili spoczynku. Nie próżnowały też przytém i oczy i usta, a i jednych i drugich zajęcie ściągало się wyłączenie do dwóch innych osób, znajdujących się w izbie,

do synowej i do wnuka. Patrząc na wnuka, starzy mimowolnie się uśmiechali, patrząc na synową, kęcili głowami przekornie, ale i uśmiechali się także, i mrugali wzajem ku sobie oczyma, wskazując na nią. Niby to radzi byli ją strofować za coś, a jednak to coś, im się podobało.

Albowiem rzecz była taka, że ta synowa, jejmość pani Beata z Grabek, acz urodzona w ubogim dworku, przecież wychowała się na rycerskim zamku, we fraucymerze samej pani Grabowskiej, i wyszedłszy za mąż za ubogiego szlachcica, Jaśka z Dębinki, wniosła pod niski dach męzowski różne obyczaje wielkopańskiego dworu. Ponieważ jednak mimo to była dobrą żoną, dobrą matką i dobrą córką dla męzowskich rodziców, przeto ci, zrzedząc na synową za jej „pańskie wymysły" nie gniewali się naprawdę, a nawet gdy jakiś taki „wymysł" przystroił wdzięcznie panią domu, albo dziecko, albo dom, to starzy uśmiechali się... Tak właśnie uśmiechali się i tego popołudnia, w którym ich poznajemy, a zaprawdę było się uśmiechnąć do czego.

Beata z Grabek Jaśkowa Dębińska była śliczną niewiastą i ubraną tak starannie, że postać jej rozświecała niejako brunatne ściany modrzewiowego dworca. Zamiast sukmany pospolitej, miała ona na sobie „Jak frankski" (*jaque*) co w dworku ubogim zdawało się niesłychaną nowością, jakkolwiek moda francuzkich jaków przysłała z zachodu na pańskie dwory w pierwszych jeszcze latach panowania królowej Jadwigi, a królowa Jadwiga od dziesięciu lat już nie żyła. Większém jeszcze dziwowiskiem niż krótki *Jak*, był ten „wymysł" jaki synowa starych państwa Jaśków wsadziła sobie na głowę, a był to suty niby czepiec wysoki, z odrzuconymi w tył szerokimi bardzo końcami, co wszystko razem czynione było zręcznemi młodéj Jaśkowej palcami, z upiętego zręcznie rańtucha, ponieważ nie śmiała ona odrzucić rańtucha zupełnie, ale zakrawało to mocno formą na czepiec kosztowny, jaki zazwyczaj panie zameżne dostojne nosiły. I ten niby czepiec jednakże, i pstra suknia z pod krótkiego *Jaka* spadająca, byłyby może nie tak bardzo rażącym „wymysłem", gdyby z pod owej sukni nie błyskał co chwila niesłychany, niebywały w ubogim dworku zbytek a tym zbytkiem były pończochy i trzewiki... Gdy stary Jaśko po raz pierwszy ujrzał synową w pończochach i trzewikach, wtedy zakrzyknął przerażony:

— Ha, synu! bodajże błogosławieństwo nie uciekło z dworca przed tém, coś ty tu przyprowadził... a toż jej już tylko... rękawiczek brak!...

Ani się spodziewał starowina, że i same nawet rękawiczki siedziały w skrytce malutkiej, w posagowej skrzynce jego modnej synowej. Jaśkowa stara, przy owém pierwszym pończoch i trzewików ujzeniu, nie powiedziała nic, a to dla tego, że zaniemówiła ze zdumienia. I w istocie można się było zdziwić, gdyż noga synowej była prawdziwie „piękną" wedle owoczesnej mody wymagań, a to znaczy, że w trzewiku na obcasie i z długim spiczastym nosem była tak kabłąkowato skurczona „aby się czyżyk pod wypukłą stopą mógł schować." Naturalnie tedy mogła się przestraszyć takiej nóżki stara szlachcianka, która przez całe swe życie, z wyjątkiem dni najgorętszych, chodziła w butach futrzanych po kolana, na jedną miarę z męzowskimi robionych.

I kto wie, coby było, gdy młody Jaśko wprowadził w dom taką żonę modną, która miała stać się zgorszeniem dla całej wsi i zacnego rodu męzowskiego zakałą, jak to sobie powiedzieli starzy Jaśkowie, naradzając się z sobą pocichu, co robić? czy synowi na nowy dworek się zmódz i kazać się ze ze starego z żoną wynosić?... czy też ustąpić przed nieszczęściem i samym w chłopskiej chacie na końcu wsi osiąść, byle na potworność niewieścich wymysłów nie patrzeć? Kto wie, coby było, gdyby zaraz jakoś nazajutrz, o brzasku, gdy wszyscy spali jeszcze, nie przypadł owczarek z krzykiem, że wilki podkopały się do owczarni. Zanim obaj Jaśkowie rozbudzili się z trochę mocnego snu po wczorajszém sutém ugoszczeniu krewnych, już młoda Jaśkowa, skoczywszy w ojcowe buty i matczynym odziewszy się kożuchem, z krzemienym kijem w ręce i z rusznicą męzowską, zwołując parobków, popędziła

na obronę licznego, jakto podówczas, stada owiec. Gdy obaj Jaśkowie nadbiegli, już trzy wilki leżały jój u nóg, reszta zaś uciekała przed parobkami, a bardziej jeszcze, przed celnymi strzałami pani młodój. Gdy wrócono do dworca, starzy uściskali synową, a gdy się pokazało, że ma ona nawet własne buty i kożuch, tylko jeszcze wydobyć ich ze skrzyni nie miała czasu, to pogodzili się z nią zupełnie i pozostali wszyscy razem w starym dworcu, w serdecznej zgodzie na resztę życia. Pokazało się, że młoda Jaśkowa miała tę trochę zdrowego rozsądku i wrodzonej uprzejmości serdecznej, która czyni człowieka łatwym w pożyciu i miłym. Zrozumiawszy od razu, o co starym chodziło, uległa ona chętnie i wesoło ich zastarzałym wymaganiom i chodziła codziennie po staremu, jak pani matka mężowska, pracując przytém gorliwie, jak całe czynne pokolenie ówczesne, za to gdy w święta stroiła się, po pańsku, jak się starym i sąsiadom zdawało, to nie tylko nie gniewano się na nią, ale nawet uśmiechano się pobłażliwie, przebacząc jej zacnej szlachejce owe małe słabostki, na byt przez długi pobyt na pańskim dworze.

I tak też właśnie „z pańska” ustrojona była dzisiaj, jako w dzień świąteczny, pani Beata, przyczem, ulegając wrodzonej żywości i pracowitości, mimo święta, krzątała się po komnacie pod okiem uśmiechniętych rodziców. Komnata była dość obszerna, ale niska i o brunatnych, naturalnych z modrzewiu ścianach i pułapie. Malutkie okienka miały przezroczyste błony z pęcherza i usunięte w tój chwili na bok drewniane okienice. Oczywiście zmrok panował w takiej komnacie nawet w jasne południe, i dla tego rozjaśniano ją sobie wiecznym ognikiem na kominie, a nawet w lato, i rozweselano wieczną wonią i umajeniem. Rzeczy te były już w obyczajach szlacheckim, mało różnym podówczas od chłopskiego, bo też starzy Jaśkowie z nieudanem upodobaniem w takich chwilach świątecznych patrzyli na śliczną synową, tak zupełnie, jakby własną ich była córką, jakby oboje zjeść ją chcieli oczyma.

Pani Beata, której samo imię nawet dworskością tchnęło, cichutko tedy krzątała się po komnacie, z naturalnej potrzeby ruchu, i oto dorzuciła do ognia na kominie, a raczej umiejętnie ułożyła malutkie polonka bzu i sośniny, jako oświecające i woniące zarazem bo ciepła nie było potrzeba. Potem po raz już drugi dzisiaj, rozrzuciła po podłodze goździki, majeranek, czarnuszkę, wymiotłszy do sieni i tam zostawiwszy umyślnie poprzecznie. Potém spojrzęła na ściany, nie tylko komnaty, ale i sieni i na ganek a wszystkie były gęsto umajone gałęziami, kwiatami, wieńcami; co gdzie spostrzegła trochę nie świeże zaraz odrzucała, a kładła lub zawieszała natomiast świeżutkie, które synaczek jój podawał. Potem uwiła pięć pączków z ziół pachnących mocno: jak miętką, boże drzewko, piołuny, etc; przysłała z tęp do starych ojców i jeden pączek podała stariej Jaśkowej matce, drugi ojcu; każde uśmiechnęło się do niej, każde pocałowało ją, każde wyjęło z zanadru taki sam pączek ziół pachnących i rzuciło w kosz pod stół, a natomiast włożyło sobie w zanadrze pączek świeży, przez synową podany. Trzeci pączek pachnący włożyła pani Beata syneczkowi w zanadrze, czwarty samój sobie, piąty położyła na samym środku owego głównego i jedyne go stołu, z uśmiechem spoglądając po starych, i oni uśmiechnęli się: każdy wiedział, że ten pączek przeznaczony był dla młodego gospodarza Jaśka. „Brak sztucznych pachnideł zniewalał uciekać się do woniących ziół a bujna roślinność wytrzebionych dziś lasów, osuszonych dziś moczarów, w nieprzebranej dostarczała ich obfitości.” Potém,

nie mając nie takiego do roboty we święto, pani Beata zakała szerokie modne rękawy, wyszła z komnaty, i za chwilę wróciła, niosąc na żelaznej łopacie kilka zarzących węgli, na które syjąc z gęsta lebiódką, miętką i jałowcem, otrzymywała kadzidło, które wnet napełniło wonią nową, woniejącą i tak komnatę.

(d. c. n.)

### SZARADA (Malina z Siedlec).

*Pierwsze i trzecie sprzęt użyteczny  
I rolnikowi w polu konieczny.  
Tój samój nazwy są też i ptaki,  
Śpiew ich się wzbija w niebieskie szlaki.  
Jeszcze tak samo też nazwać można  
Istną ozdobę kobiecój głowy,  
Choć nastąpiła ta moda zdrożna,  
Że się kupuje strój ten gotowy.  
Drugie i trzecie są to prawdziwie  
Świątynie cudnej natury,  
Chociaż je niszczą tak uporczywie  
Wysłańcy obcej kultury.  
Suszarnie także się posługują  
Tój samój nazwy przedmiotem  
Wszystko, pojazdy, lecz podróżują  
Już rzadko niemi, wszak wiecie o tęp.*

### Łamigłówka kryształowa.

(Zuzulka z nad Tykicza).

1. Spółgłoska.
2. Bryły lodu.
3. Miasto na Szląsku.
4. Zwierzątko górskie.
5. . . . .
6. Zdrajca.
7. Dowódca turecki.
8. Rzeka w Rosyi.
9. Samogłoska.

Rząd środkowy i litery środkowe utworzą nazwisko znakomitego komitego poety polskiego z początku XIX stulecia.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 24-go.

Z a g a d k i:

Mina.

### Z Czarodziejskiój sztuczki:

Odjąć litery, z których się składają wyrazy: *manipulata* i *kupno*, a zostanie *miecka* i *wał*.

TREŚĆ: Słóń uczony (z drzew.)—Majówka p. Helenę Bojarską.—Profesor Van-Mous p. Zofią Grabkowską.—Ustęp z poematu Kościelisko p. Seweryna Goszczyńskiego (z drzew.) — Chwila spoczynku, komedyjka w jednym akcie p. Michała Kozłowskiego. — Złote pachole, powieść z dawnych czasów p. M.—a. — Łamigłówki, rozwiązania. W Dodatku: Okropny wypadek (z drzew.) — Chroma Józia wierszyk Ludwika Niemojowskiego. — Kazia p. Helenę Bojarską. — Niezgodna królewicza, bajka prawdą przepłataną. — Łamigłówka, rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Przygody młodego chłopca w szkołach.



OKROPNY WYPADEK.

Chroma Józia.

Jadzia jest troszkę łakoma. Jak zobaczy, że mama smaży konfitury, to już przez cały dzień ślinka jęj do ust idzie, póki ich nie pokosztuje. Mama zwykle daje córeczce troszkę konfitur do pokosztowania, ale każe na to cierpliwie czekać, a Jadzia czekać nie lubi.

Raz wbiegła do pokoju, gdzie stały na stoliku świeżo usmażone konfitury z truskawek, a tak ślicznie pachniały, że Jadzia nie mogła się oprzeć pokusie, przysunęła krzesło do stolika, uklękła na niem i zanurzyła paluszek w słodziutki syrop.



Okropny wypadek spotkał łakomą dziewczynkę...

Lecz cóż to się stało? Jadzia nasza, zamiast nieść słodki paluszek do buzi, wydaje krzyk przeraźliwy, zeskakuje z krzesła, które się przewraca z hałasem, a paluszkciem, umoczonem w syropie, wymachuje w powietrzu, jak szalona. Okropny wypadek spotkał łakomą dziewczynkę. Oto osa, równie łakoma, jak ona, chciała także pokosztować smacznych konfiturek, a wlaższy do stoika, nie mogła się już z niego wydobyć, bo zagrzęzła w gęstym syropie. Jadzia właśnie w to samo miejsce włożyła paluszek, osa pewnie myślała, że ona ją chce udusić, albo utopić do reszty w syropie, więc ze złości uklęła ją okropnie w ten paluszek.

Biedna Jadzia długo cierpiała ból dotkliwy, nim się paluszek zagoił, ale przynajmniej oduczyła się łakomstwa. Ile razy ją skorciło dotknąć jakich łakoci bez pozwolenia, zaraz sobie przypominała okropny wypadek z osą i cofała rączkę z mimowolną obawą.

— O jakże biedna, mówiono w koło,  
Ta mała Józia! gdy w każdej porze  
Inne dziewczątka skaczą wesoło,  
Ona wraz z niemi igrać nie może,  
Tylko się do swój matki przytuli,  
Lub też z trudnością chodzi o kuli:  
Prawda że biedna, lecz Pan Niebieski,  
Aby oddalić od niej zgryzoty,  
Dodać otuchy, osuszyć łezki,  
Dał nieszczęśliwej wielkie przymioty,  
Tak że od chromej z skurczoną nogą  
Wszyscy przykłady brać tylko mogą.  
Codzienną biedaczka gorąco, szczerze,  
Czcząc Stwórcy świata Wszechmocną wolę,  
W cichój modlitwie zmawia pacierze,  
A wkrótce potem siada przy stole,  
Uczy się lekcyi z pilnością całą,  
Jak pracowitym dzieciom przystało.  
Jeśli jęj czasem braciszek z siostrą  
W czém się sprzeciwią, lub bez przyczyny  
Wyrzekną jaki wyraz zbyt ostro,  
Ona im wszystkie przebaczy winy,  
A zamiast mścić się za brzydkie kłótnie,  
Westchnie jedynie spojrzawszy smutnie.  
Widząc, jak ciężko jest żyć na świecie  
Tym, którzy własnej nie mają chatki,  
Biednych staruszków, zgłodniałe dziatki,  
Wspiera częstokroć skromnemi datki.  
A wspomóżeni darem jęj ręki,  
Łzami wdzięczności niosą swe dzięki.  
Rozważna w czynie, baczna w rozmowie,  
Skromna wśród grona statecznych osób,  
Dobrem swém sercem przy każdym słowie  
Ująć każdego znalazła sposób.  
Tak, że ją wszyscy, starsi i mali,  
Serdecznie w całym domu kochali.

Był to zaprawdę anioł na ziemi,  
Cichy, spokojny, cnotliwy, błogi,  
Który pięknemi czynami swemi  
Wskazuje drugim zbawienne drogi,  
I postępując szlachetnym torem,  
Dla wszystkich innych staje się wzorem.  
Bóg też w dobroci swój niezbadany,  
Chcąc jęj przymioty rzadkie nagrodzić,  
Przemienił z czasem żywot stroskany,  
Sprawił, że mogła bez kuli chodzić:  
Znikło kalectwo, wróciło zdrowie  
I już ją *biedną* dziś nikt nie zowie.

Ludwik Niemojowski.

KAZIA.

— Moja Kaziu, dla czego nie egzercytujesz się tak jak należy — rzekła Teca, wchodząc do salonu, gdzie bardzo niedbale grała jęj siostra.

— Ciekawam doprawdy, jak się należy egzercytować!

— Jakto, nie wiesz? trzeba grać najwięcej gam i ćwiczeń, a ty zupełnie o tém zapominasz, trzeba jeden takt powtarzać czasem kilka lub kilkanaście razy.

— A dajże mi już pokój z temi naukami! gam nie myślę grać, nic mi z nich nie przyjdzie, ani też nie będę się niemi popisywać.

— Tak, gam przy nikim nie zagrasz, ale nie grając ich, nie będziesz nigdy i sztuk dobrze grać, bo nie nabierzesz ani wprawy, ani biegłości.

— O! moja kochana! już mi ta muzyka obrzydła przez to, że wszyscy prawią mi tylko o gamach i ćwiczeniach, zaledwie zaczną grać, wchodzi mama i mówi: Kaziu! jak ty grasz? proszę grać porządnie! — za chwilę znów ty wpadasz z jakąś nauką, aż wreszcie przy lekcyi panna Jadwiga przez całą godzinę laje mię na ten sam temat.

— A więc widzisz, że wszyscy na jedno się zgadzamy i dla tego też, jeżeli chcesz coś umieć, powinnaś nas słuchać. Ciekawa jestem, czy umiesz tę sztuczkę, którą miałaś przygotować na imieniny mamy, pewnie nie?

— Cóż znów? umiem już prawie dobrze, a do imienin jeszcze się lepij nauczę.

We dwa tygodnie potem były imieniny mamy, wieczorem zebrało się kilkanaście osób, a było między nimi kilka młodziutkich panienek, jedna z nich na żądanie gości, siadła do fortepianu i zagrała sztukę z którą właśnie miała się Kazia popisywać, ale jakaż różnica była między ich grą! Kazia nie byłaby nigdy zagrała tak czysto i biegle, to też proszona później o muzykę, długo się wymawiała, wreszcie zagrała, ale już co innego; tak jednak źle jej poszło, iż na cały wieczór straciła humor, gdyż widziała, jak wielką sprawiła matce przykrość.

Gdy dziewczątka w swoim kółeczku poczęły się bawić i rozmawiać, Kazia, zwracając się do jednej ze swych rówieśniczek, zapytała:

— Musisz, Zosieczko, dużo sztuk grywać, tak ci to idzie wprawnie?

— O! przeciwnie, bardzo mało; gram najwięcej ćwiczeń i gam, sztuk nie wiele.

— I nie nudzą cię gamy?

— Nie; bo widzę, że są bardzo potrzebne, z początku, gdy się zaczęła uczyć grać, ogromnie ich nie lubiłam, ale później sama poznałam, że nie mogłabym żadnej sztuczki dobrze zagrać, gdybym nie grywała gam i dla tego wcale się teraz od tego nie wymawiam, a ty?

— Ja... ja... — poczęła jąkać się Kazia — mam zamiar iść za twoim przykładem; dotąd mało grywałam gam, bo przyznam ci się, że nie sądziłam, aby były tak potrzebne, ale dziś przekonałam się, o ile są pożyteczne.

— Cóż cię tak dziś przekonało? czy moje słowa?

— Nie, lecz twoja gra; zagrałaś sztuczkę, którą sobie właśnie na dziś przygotowałam, a którą gram o wiele gorzej od ciebie, chociaż dłużej się uczę; sądziłam, iż musisz dużo sztuk grywać, kiedy doszłaś do takiej biegłości, a tu tymczasem dowiaduję się, iż zawdzięczasz to gamom i ćwiczeniom.

Od tego czasu nikt już nie robił Kazi uwag w muzy-

ce, gdyż sama grywała bardzo starannie a panna Jadwiga aż dopytywać się poczęła, co mogło wpłynąć na tak korzystną zmianę w jej uczenicy.

*Helena Bojarska.*

## NIEZGODNI KRÓLEWICZE.

BAJKA PRAWDĄ PRZEPLATANA.

(Dalszy ciąg).

— Węgla? żartujesz sobie ze mnie, mistrzu. A z kądeby moje roślinki kochane dostały tu węgla? Ja go tu wcale nie mam i nigdy zapasów węgla nie zabieram od Kryszałka, nie potrzebuję go wcale.

— Bo go tu masz podostatkiem, tak raczej powiedz, miłościwy królewiczu. Powiedz mi naprzykład, czém palisz w piecach?

— Ależ drzewem, rozumie się — rzekł Zielonko.

— Dobrze — odparł Abrakadabrus — a gdy się drzewo rozpali, czy nie widzisz czasem na kominie pośród płomieni bryłek węgla?

— Czysta prawda! — zawołał Zielonko — tylko nie rozumiem, z kąde one się tam biorą.

— A z kądeby się wzięły, gdyby ich w drzewie nie było już przedtém? Włóż w ogień jakikolwiek produkt roślinny lub zwierzęcy, a każdy spali się, jak to mówią, na węgiel. Cóż to znaczy? Nic innego, tylko, że ten węgiel siedział tam ukryty, wcale go widać nie było, aż gdy go ogień dobrze przygrzał, wyszedł zaraz na wierzch, jak oliwa. Dlatego to właśnie musiałem uwierzyć słowom przyjaciela mego Chemika, gdy mię upewniał, że w każdej istocie żyjącej, czy to roślinie czy zwierzęciu, znajduje się węgiel, jako część główna i najważniejsza. Oprócz tego są jeszcze w ciałach żyjących trzy gazy. Wszak wiesz, miłościwy królewiczu, co to jest gaz?

— Ależ wiem, Kryszałek urządził sobie z początku oświetlenie gazowe w swojej rezydencji, teraz je zmienił na światło elektryczne, które jest w samej rzeczy daleko piękniejsze. On wyrabiał ten gaz z węgla, ale u mnie gazu niema.

— Nie zrozumiałeś mię, miłościwy królewiczu — rzekł Abrakadabrus — gazów jest dużo na świecie rozmaitych, a pewien gatunek służy do oświetlania. Gazy są to ciała nadzwyczaj nikłe, przezroczyste, niewidzialne, ale pocóż mam długo o tém rozprawiać, gaz mamy wszędzie przy sobie, bo powietrze jest mieszaniną gazów. Nie widzimy powietrza, lecz je czujemy oddychając, wciągamy je w siebie. Dwa są w powietrzu główne gazy, tlen, który służy do oddychania i pali się razem z węglem w płomieniu, i drugi, azot, do oddychania niezdatny, nie mniej jednak do życia koniecznie potrzebny. Otóż oba te gazy, i tlen, i azot, w połączeniu z węglem, znajdują się w ciałach żyjących. Trzeci... ach! o tym trzecim to znów trzeba całą osobną historią opowiedzieć, a obawiam się, abym cię nie znudził, miłościwy królewiczu.

— Ależ upewniam cię, mistrzu, że słucham z największym zjęciem. Czy uczyłeś tych wszystkich rzeczy piękne królowny, córki Dobromira?

— O tak, królowny niezmiernie lubią naukę, i dziś jeszcze, chociaż już dorosły, słuchają chętnie moich opowiadań.

— Ja też to dobrze czuję — rzekł Zielonko z westchnieniem — że daleko mniej umiem od królowny Jagódki, chciałbym to jednak naprawić, ażebym się nie wstydził przed nią mojej niewiedomości. Mówiłeś więc, że trzeci gaz...

— Trzeci gaz, znajdujący się w żyjących ciałach roślinnych i zwierzęcych, uwięziony jest zwykle w wodzie i dla tego nazywa się wodorem. Jestem pewny, że znowu uwierzyć mi nie zechcesz, jednakże widziałem na własne oczy sztukę czarodziejską, którą przyjaciel mój Chemik urządzał z wodą. Wziął on przyrząd osobliwszy, zwany stosem elektrycznym; są tam małe naczynka, dwa druciki, w naczynka nalewa się jakiegoś kwaśnego płynu i wnet elektryczność, taka siła czarodziejska, zaczyna hulać po drucikach. Przyjaciel mój zanurza w wodzie oba druciki, i cóż się dzieje? Przy końcach obu tych drucików zaczynają występować małe pęcherzyki powietrza, a raczej gazu, bo to nie jest właściwe powietrze, tylko gazy, uwięzione w wodzie, wyskakują z niej raptem, gdy elektryczność przez wodę przelatuje. Wyobraź sobie, miłośniwy królewiczu, że wody w końcu zabrakło w naczyniu, znikła zupełnie, a natomiast pozostały w rurkach szklanych dwa gazy, pochwycone i uwięzione tam przez mego przyjaciela, bo inaczej byłyby uleciały w powietrze. Gazy wszystkie to mają do siebie, że ich niepodobna utrzymać w naczyniu otwartym, zaraz się wymykają i ulatują. Obaczywszy tę ciekawą sztukę na własne oczy, musiałem uwierzyć, że w wodzie nic innego niema, tylko dwa gazy, tlen, ten sam, co to jest w powietrzu i służy do oddychania i drugi wodor. Mój przyjaciel jeszcze lepiej zrobił, zmieszał oba gazy, potem je zapalił. Zaraz zaczęły płonąć błędem, błękitnawem światłem, a z płomienia tego nie dym się unosił tylko para wodna. Zebrał ją znów przyjaciel mój w osobną flaszeczkę.

— A powiedzże mi, mistrzu — zapytał Zielonko — do jakiego z trzech królestw przyrody należą gazy? przecież nie do minerałów.

— Wszakże są martwe — zauważył Abrakadabrus.

— No tak, ale... z wodą to jakoś łatwiej zrozumieć, bo gdy zamarznie, wygląda naprawdę jak gład, tymczasem te nikłe, niewidzialne gazy nie mają najmniejszego podobieństwa nawet i do wody.

— Otóż muszę ci powtórzyć, miłośniwy królewiczu, co mówił przyjaciel mój, ów Chemik uczony. Utrzymywał, że gdyby mógł tylko jakikolwiek gaz najpierw ścisnąć bardzo mocno w naczyniu szczelnie zamkniętym, potem nadzwyczajnie oziębic, toby się z tego gazu zrobiła ciecz, do wody podobna, a ponieważ woda zamarza, więc i z tej cieczy gazowej z pewnością przy silniejszym oziębieniu zrobiłaby się brzołka twarda \*).

(d. c. n.)

\*) Przyjaciel Abrakadabrusa miał słuszność; niezbyt dawno uczeni dowiedli rzeczywiście tej sztuki, skroplili powietrze na ciecz, a nawet o tyle oziębili, że wyglądało, jak śnieg. Przyczynił się znacznie do tego ważnego odkrycia rodak nasz, profesor Wróblewski z Krakowa.

## Łamigłówka w kwadraciku.

(Od Różyczki dla Gucia z Wierzbicy).

W kwadraciku z 16 podziałek ułożyć: 4 A — 1 E — 1 M — 4 N — 2 O — 2 R — 2 T — aby odczytać w obu kierunkach: 1. Wulkan. 2. Oznaka królewskiej godności. 3. Podziemie. 4. Kraj w Azji.

## ROZWIĄZANIE DO N-ru 24-go.

### Łamigłówki zgłoskowej:

Puma — Róg — — Aga — Gwar — Ałep.  
Praga — Praga.

## Skrzynka do listów.

**Stokrotce z Zofiówki** nie potrafimy już dziś wyjaśnić, dlaczego odpowiedź poprzednia tak się opóźniła, wszystkich jednak prosimy zawsze o cierpliwość, bo odpowiedzi z powodów rozmaitych nie mogą być natychmiast po otrzymaniu liścików drukowane. Myli się też kochana Stokrotka sądząc, że krótsze odpowiedzi oznaczają mniejszą życzliwość ze strony redakcyi. Główną przyczyną jest brak miejsca, Skrzynka do listów bywa zwykle pełną po brzegi, czasem jednak trzeba koniecznie dać dłuższą odpowiedź, gdy korespondentki żądają jakich wyjaśnień. Upewniamy Stokrotkę, że do gawędki nie brak nam nigdy ochoty, lecz gdy nadejdzie liścików mnóstwo, musimy się troszkę w gadatliwości powstrzymywać.

**Maryni K. w Trylisach Nr.** żądany wysłano powtórnie, wszystkich prosimy, aby się o zatracone na pocztę Nra jaknajwcześniej upominali.

**Myszkę polną i Żabkę z nad Smotrycza** prosimy, ażeby cierpliwie czekały, a ujrzą łamigłówki swoje wydrukowane.

**Prymulkę białą** upewniamy, że liściki jej równie są miłe dla nas, jak dla niej odpowiedzi. I teraz więc śliczny gołąbek pocztowy, który przyfrunął z liścikiem, serdecznie był powitany. Różyczka polna pisała o sobie do Róży alpejskiej w Nrze 21 niech Prymulka to odszuka i odczyta, bo pocóż ma po dwa razy Różyczka też same szczegóły powtarzać.

**Dąb z nad Dubniczanki** bardzo ładnie przerysował doświadczenie fizyczne, ale mamy mnóstwo tych doświadczeń, przygotowanych do druku, więc chyba później kiedyś to zamieścimy.

**Czczotka** trafnie odgadła łamigłówkę.

**Wierzbie z nad Wisły** donosimy, że powiastki, „Reginka i Prawdziwe Bogactwo” wyjdą w roku bieżącym w osobnej odbitce, z pięknymi obrazkami, wszyscy więc, którzy początku nie czytali, będą mogli to sobie wynagrodzić. Ponieważ w konkursie naszym idzie wyłącznie o kaligrafię, więc nie stanowi to żadnej różnicy, czy kto napisze z własnej główki cośkolwiek, czy też przepiśnie ustęp jaki prozą lub wierszem. Można też pisać według upodobania, w dwóch liniach lub na jednej. Jeżeli siostrzyczka tak ładnie pisze, to koniecznie powinna do tego konkursu należeć. Nagród będzie kilka.

**Cyganecka z nad Horynia** musi także być cierpliwa, bo z łamigłówkami naprawdę rady sobie dać nie można. Szarada byłaby bardzo dobra i zasługiwałaby na śpieszniejsze wydrukowanie, ale wyrazy *oznacza* i *smaczna* nie rymują z sobą. Niechno Cyganecka popracuje nad wyszukaniem lepszych rymów.

„Kochana Sarenko z nad Moroczul! Bardzo mi się podobał twój pseudonym, napisz, gdzie mieszkasz, jak ci na imię, czy w domu się uczysz czy na pensyi. Ja jestem o rok starsza od ciebie, na imię mi Oktusia, uczę się w domu. Proszę cię odpisz mi, twoja Brzołka płacząca.

„Kochana Perełko! Chciałabym się z tobą zapoznać, bo jesteśmy rówieśnikami. I ja nazywam się Mania, mam lat 13, mieszkam w Tykocinie. Tak jak ty uczę się w domu, po wakacjach pojedę na pensję do Warszawy. Napisz, ile masz rodzeństwa, ja mam pięciu braci i siostrę starszych od siebie, szóstego brata młodszego. Twoja Konwalia z nad Narwi.

„Kochana Iskierko z Konar! Zdaje mi się, że odgadłam, kim jesteś, jeżeli się nie mylę, to imię i nazwisko twoje zaczynają się od tej samej litery. (tak jest w rzeczy samej, przyp. red.) Co do mnie, przypomnij sobie imiona twoich znajomych, a znajdziesz między nimi i życzliwą Sasankę leśną”.

**Gwiazdce z małej Rusi** przesyłają pozdrowienie Jastrzębięta z nad Wieprza.

„Kochana Iskierko! Bardzobym chciała poznać swą imienniczkę, chociaż jesteś wiele starsza odemnie, bo ja mam dopiero dwunasty rok. Nazywam się Gabrynia i mam tylko brata starszego, więc prawie jakbym też była jedynaczką. Mieszkam nad Wisłą, w zimie w Warszawie, a w Konarach w lecie. Przesyłam ci serdeczne pozdrowienie, Iskierka z Konar”.

„Kochany krakowianinie! Czytając liścik twój do Zawieruchy, domyśliłam się, kim jesteś. Przypominasz sobie zapewne dobrą swoją Marylę U. Otóż ja nią jestem i pisuję do Wieczorów pod pseudonymem Iskierki. Rodzicom przesyłam ukłony, Tadzia i Edzia uściskaj odemnie. Życzliwa Iskierka. (Adresu drukować nie możemy, kochana Iskierka nam wybaczy, ale wszyscy by tego mogli żądać, a to byłoby nie właściwe, bo pisemko nie jest biurem adresowym przyp. red.)

„Droga Czereśni! Dziękuję ci serdecznie za twój liścik. Takeśmy się dawno nie widziały, myślałam, że zupełnie o mnie zapomniałaś. Czy często widzisz się z Zosią? Ja niedawno pisałam do niej, lecz jeszcze nie mam odpowiedzi. Przesyłam ci uściśnienia, Iskierka”

„Kochana Niezapominajko z nad Horynia! Podobał mi się bardzo twój pseudonym, i chciałabym się z tobą choć listownie poznać. Nazywam się Mania, w Lutym skończyłam lat 12. Mam pięciu braci i siostrzyczkę, z którą się uczę w domu, mieszkam niedaleko Żytomierza. Cyganeczka z nad Horynia”

„Kochana Wiktoryo Regio! Bardzo mi się podoba twój pseudonym i chcę się z tobą poznać choćby listownie, bo inaczej nie można. Ja mam lat 8 nazywam się Maryńcia, uczę się z mamą. Napisz ile masz lat i jak się nazywasz: Wierzba z nad Wisły.”

„Kochana Różyczko polna! Bardzo mi się podobał twój pseudonym, chciałabym choć listownie zapoznać się z tobą. Napisz mi, czy chętnie czytujesz „Wieczory”, co porabiasz. Przyjm serdecznego całuska od życzliwej Prymulki białej.”

„Kochana Myszko biała! Ponieważ jestem także Myszką, więc zaczynam z tobą znajomość, posyłając ci szaradę do odgadnięcia. Nazywam się Julcia, mieszkam na wsi, trzy mile od Kamieńca, mam lat 7. Proszę cię odpisz mi, twoja Myszka polna.” (Szarada później będzie wydrukowana, Myszka biała ma lat 9 nazywa się Celinka, mieszkam niedaleko od Dniestru. (przyp. red.)

„Wybacz, Zawierucho! ale zobaczywszy twoją łamigłówkę kropkowaną dla Wisienki, choć niezajoma wielką powzięłam ochotę odpowiedzieć ci także łamigłówką; jeśli ją odgadniesz, przekonasz się, że ja odgadłam twoją. Polecam się twój pamięci, Żabka z nad Smotrycza.” (Łamigłówka później będzie drukowana, przyp. red.)

**P. Józefie Siemaszko.** Historia polska jaką uważamy za najlepszą dla panienki w tym wieku wysłana. Kosztuje rs. 2 kop. 50 przesyłka zaś kop. 50 razem tyle ile mieliśmy przysłane. Spodziewamy się że kochana Stokrotka z nad Stochodu napisze do nas powróciwszy do zdrowia czego jej życzymy, ubolewając serdecznie, nad jej strapieniem.

**P. Jul. Boguckiemu.** Do wysłanych książek i nut dopłaciliśmy kop. 25.

**Topolka z nad Wisły** niepowinaby się tak martwić dokonaniem „Prawdziwego Bogactwa,” lecz czekać cierpliwie na rozpoczęcie innej powiastki, a może i ta ją także zajmować będzie. Łamigłówka jest dobra, ale nie może być zaraz umieszczona.

**Wielkopolanka** nietylko wykręcać się, lecz nawet i tłumaczyć się nie potrzebuje, bo taka drobna nieuwaga winą przecież nie jest. Wielką to nam sprawia przyjemność, gdy dorosłe panienki Pisemko nasze czytają, musimy jednak pamiętać przedewszystkiem o liczniejszych daleko młodszych czytelnikach. Kochana Wielkopolanka bardzo niesłusznie hojny swój datek drobnym nazywa, gdyby wszyscy, którzy odezwę p. Ilnickiej czytali, ofiarowali tylko dziesiątą część tego jużby się spora sumka zbierała. Zagadkę wydrukujemy, jak tylko będzie można najprędzej.

**Na kolonie letnie złożyli:** Bławatka z nad Horynia rs. 1 — Gucio i Jasio z Zanecina rs. 1 — Bezimiennie rs. 3 — Róża biała i Dziegiół rs. 2 — Fajka i Tabaka rs. 1 — Siekierka rs. 1 — Konwalia z nad Wisły z siostrą rs. 1 — Wielkopolanka rs. 1 — Helcia z Ługańska kop. 50 — Stefan Nowicki kop. 35. Iskierka kop. 50.

**Na kościół praski** Bezimiennie rs. 1.

## KRONIKA RODZINNA.

„Kronika Rodzinna“ wychodzić będzie w kwartale przyszłym w tymże samym kierunku i warunkach. W najbliższych numerach zamieści pomiędzy innymi: **OPOWIADANIA Z PODRÓŻY NA WSCHÓD**, odbytej w końcu roku zeszłego przez *Ignacego Domejkę*. W dalszym ciągu *Korespondencye Michała Wisztewskiego*, z archiwum hr. Przeździeckich. **ZE WSPOMNIENIÓW O DOBREJ KRÓLOWEJ**, niewydane listy Maryi Leszczyńskiej. **LISTY Z WŁOCH**, hr. Wojciecha Dzieduszyckiego; *Korespondencye z Londynu* Miss Magdaleny Ashurst Biggs, tłumaczki na język angielski „Pana Tadeusza”, oraz powieść z dawnych dziejów pod tytułem: **NA ZAMKU ŻŁOTOYISKIM**.

Prenumeratory „Kroniki“, otrzymać mogą po cenie zmniejszonej różne wartościowe dzieła i oleodruki, wykonane starannie w zakładach zagranicznych i krajowych, oraz w dodatku bezpłatnym wydawane nakładem Redakcyi **PAMIĘTNIKI MARYI WESSŁÓWNY KRÓLEWICZOWEJ KONSTANTOWEJ SOBIESKIEJ**, spisane ze wspomnień i archiwów jej rodziny.

**PRENUMERATA** roczna w Warszawie rs. 4, na prowincyi, w kraju i zagranicą rs. 5 — (to jest. w Galicyi reń. 6 — w Poznańskim marek 10), stosownie do tej ceny opłata półroczna i kwartalna.

Przesyłki pieniężne adresować należy wprost do Redakcyi:

Warszawa, ulica Mazowiecka Nr. 10.

## WIECZORY RODZINNE.

„Wieczory Rodzinne“ wychodzić będą w półroczu następnym w tymże samym kierunku i warunkach, zamieszczając **OPOWIADANIA HISTORYCZNE — ŻYCIORYSY ZNAKOMITYCH LUDZI — WIADOMOŚCI Z NAUK PRZYRODNICZYCH, HISTORJI ODKRYCIA I WYNALEZKÓW — POWIEŚCI — PODRÓŻE — ZAGADKI HISTORYCZNE** i inne, za odgadnięcie dawać się będą nagrody z książek, albumów, rycin i fotografii. Prenumeratory oprócz tego nabywać mogą po cenie zmniejszonej odpowiednie dla siebie książki. W półroczu przyszedł będą zamieszczone między innymi: **ŻŁOТЫ PAZ** powieść historyczna M. Grzymały, **TAJEMNICA STAREGO KLASZTORU**, powieść z dziejów Serbii. **GARBUSEK**, powieść dla dorastających panienek p. Maryi Swiderskiej. **KOMEDYJKI** dla teatrzyków amatorskich. **POGADANKI Z NAUK PRZYRODNICZYCH** M. J. Zaleskiej, **OBRAZKI Z DZIEJÓW LITERATURY** p. Z. Morawską, **POGADANKI OGRODNICZE** p. Z. Grabkowską, **W KRAINIE ŚNIEGÓW I ŁODÓW**, podróż młodego wędrowca Polaka w krajach podbiegunowych.